

PISARZ i AKTORKA

Jednym z najbardziej entuzjastycznych wielbicieli nie tylko talentu, ale osoby Heleny Modrzejewskiej był Henryk Sienkiewicz. Dowiadujemy się o tym z nie-dawno udostępnionej badaczom korespondencji prywatnej naszego pisarza. Zawiera ona poza szeregiem interesujących wynurzeń osobistych, szczegóły pewnego epizodu, który — jak się okazało — miał decydujące znaczenie dla kariery królowej scen polskich za granicą. Chodzi tu o wyjazd obojga do Stanów Zjednoczonych przed 83 laty.

W dotychczasowych publikacjach utrzymywano, że Henryk Sienkiewicz jako młody felietonista „Gazety Polskiej” wyjechał na drugą półkę w ślad za Dickensem dla napisania cyklu reportaży. Był to rok 1876, kiedy to otwarto w Filadelfii wielką wystawę obrazującą ambicję przemysłowej młodych Stanów Zjednoczonych. Tymczasem za mian wyprawy transatlantycznej powstał rok wcześniej w salonie Modrzejewskiej. Aktorka zniechęcona intrygami w środowisku teatru warszawskiego postanowiła rzucić scenę i osiedlić się w Ameryce. Plany te popierał drugi mąż Heleny — Wielkopolski Karol Chłapowski wraz ze swym przyjacielem Sypniewskim, również naszym krajem. W salonie aktorki rojono utopijne wizje jakiejś fermy, która miałaby mieć cechy staropolskiego dworku szlacheckiego. Do entuzjastów założenia

małej kolonii polskiej na Dzikim Zachodzie przyłączył się szybko Sienkiewicz. Oficjalnie mówił o swym zapale do połowa na dzikiego zwierza — rzeczywistości pragnął znaleźć się z przedmiotem swoich ukrywanych uczuć z dala od kraju, w atmosferze posiadającej wszystkie znamiona dającej światowa sława Henry Modrzejewskiej.

Postanowiono tedy, że Sienkiewicz wraz z Sypniewskim wyruszą najpierw na rekonesans. Podróż sfinalizowała „Gazeta Polska”. Po przybyciu do USA obaj Polacy udali się do Kalifornii, gdzie znaleźli warunki do osiedlenia. Zakupili więc domek i wysłali list do kraju ze sprawozdaniem ze swych wrażeń i pociągnięć. Helena Modrzejewska wraz z synem i drugim mężem wyruszyła kilka miesięcy później szlakiem swych wysłanników.

W początkach października 1876 r. całe towarzystwo zamieszkało w Anaheim (Kalifornia). Przybysze po zagospodarowaniu zajęli się uprawą gruntu pod drzewa pomarańczowe. Wkrótce jednak okazało się, że mały domek jest za ciasny dla 9-cioosobowej rodziny. Helena Modrzejewska wraz z synem i drugim mężem wyruszyła kilka miesięcy później szlakiem swych wysłanników.

W styczniu następnego roku mała kolonia polska rozdzielała się. Sienkiewicz udaje się na zwiedzanie Kalifornii, a Modrzejewska wyjeżdża do San Francisco, aby wystąpić na scenie. Kontakty aktorki z rodakami ułatwiają nasz pisarz, który jednocześnie prosi ich o pomoc dla Heleny.

W listach Sienkiewicza znajdujemy entuzjastyczne opinie o szybkich postępowach Modrzejewskiej w nauce języka angielskiego, bez znajomości którego występy są niemożliwe.

W tych samych listach mamy niemniej entuzjastyczne recenzje z pierwszych występów naszej aktorki w teatrach amerykańskich. Pisarz wyraża tu swoje obawy jak na pół

cywilizowani koloniści przyjmą gry „królowej scen polskich”, a następnie z niezwykłą sugestynością opisuje jej powodzenie. Było to rzeczywiście coś zaskakującego i dla Sienkiewicza i dla Modrzejewskiej.

W korespondencji mamy informację, że pisarz towarzyszył swojej znakomitej rodaczce w jej zdumiewającym tournee od San Francisco do Nowego Jorku. Cieszy się, że nieznana poza krajem Polka, zaledwie przyswoiwszy sobie obcy język, gra z taką swobodą i mistrzostwem. Od tego tournee rzeczywiście zaczyna się światowa sława Henry Modrzejewskiej.

Rośnie uczucie pisarza do aktorki jako kobiety. Pisze w jednym liście: „Jako błazn... Ty, który jesteś niczym — śmiałeś inaczej do niej mówić jak na kleczkach?” A w recenzji z występu w San Francisco spotykamy takie zwroty: „... jest to sympatyczna postać, tak chwytająca za serce, że kto ją raz widział, ten przynajmniej nigdy nie widział na scenie”.

Spotkania Sienkiewicza z Modrzejewską w Ameryce wywarły również wpływ na twórczość naszego pisarza. Podobnie jak aktorka na scenach kalifornijskich mała Jenny w noweli „Orso” jest uosobieniem niezwykłego kobiecego wdzięku, który kontrastuje z prostactwem otoczenia. Takim samym niecodziennym zjawiskiem w karawanie emigrantów opisywanej w noweli „Przez stepy” jest delikatna wiotka, prawie dzieciętna Lilian Morris — przeciwstawianie prostych, krzepkich i zahartowanych poszukiwaczy złota. Postacie bohaterów „Orso”, „W krainie złota” i „Przez stepy” charakteryzuje idealny pełen uwielbienia i wspaniałej miłości stosunek do kobiety — odbicie stosunku autora do Modrzejewskiej.

Sienkiewicz powraca do kraju w marcu 1878 r. po blisko dwuletnim pobycie na drugiej półkuli. Sprowadzając swą rodaczkę do Stanów Zjednoczonych robi o sielance pod pięknym niebem kalifornijskim. Pozostawiając ją w Nowym Jorku żegna aktorkę o ugruntowanej sławie międzynarodowej.

No cóż, los często płata podobne figle.

Józef Modrzejewski



Kruki

CAF — fot. Zdz. Wdowiński

Dzieci na sprzedaż

Pewnego lipcowego dnia na lotnisku Campino w Rzymie zjawili się uboga ubrana młoda kobieta z dwiema małymi dziećmi na rękach. Podszedł do niej elegancki pan, który zamieniwszy z nią kilka słów odebrał jej dzieci i skierował się wraz z nimi w stronę oczekującego na lotnisku samolotu amerykańskich linii lotniczych. Kobieta pobiegła jednak za nim i z okrzykiem: „nie będę handlować swoimi dziećmi” — wyrwała mu swe pociechy i uciekła do miasta.

Nazajutrz cała prasa włoska pisała o 29-letniej Filomenie Guastafierro, wieśniaczce z Poggioranino koło Neapolu. Zmuszona jednak zgodziła się ona sprzedać dwoje najmłodszych z sześciorga swoich dzieci bezdzietnemu małżeństwu amerykańskiemu za cenę 150 tysięcy lirów. Sprawa Filomeny Guastafierro stała się przedmiotem nie tylko sensacyjnych artykułów, ale również wielu interwencji w parlamentie. Ustalono bowiem, że w zacofanych okręgach południowych Włoch, gdzie tysiące rodzin żyją w nieopisanej nędzy, handel dziećmi trwa już od wielu lat. Istnieją nawet cztery organizacje, które delegują do południowych Włoch specjalnych agentów-pośredników. Ci z kolei mają za zadanie wyszukiwać najuboższe rodziny i za odpowiednią sumę kupują od nich dzieci, które są następnie adoptowane przez bezzietne małżeństwa za granicą, głównie w Stanach Zjednoczonych. Wielu deputowanych włoskich zwróciło się do ministra dla spraw emigracji z żądaniem wszczęcia dochodzenia w sprawie tych organizacji.

Dotychczas jednak rząd włoski nie uczynił nic w tym kierunku. Widocznie w jego mniemaniu handel dziećmi jest mniejszym przestępstwem niż zniesienie stynnej ustawy 353, zabraniającej pod kątem sądowym wszelkiej regulacji urodzin, nawet stosowania uznanej w kołach katolickich metody Ogino-Knausa.

tu człowiek i po śmierci idąc ścieżkami krwi grzyż język zaciskał zęby

tu świat nigdy nie dojrzał

wy ktorzy nie znacie królestwa trzecinowych ludzi

którzy nie znacie królestwa kochających kobiet chodźcie tu usłyszyście ocean jęków zobaczyście ocean włosów oczu głów

Oświęcim — dłoń mojej matki dlonie naszych matek

Oświęcim — początek równika

Nikos Chadzinikolau

Oświęcim

Oświęcim — królestwo cieni królestwo spalonych ludzi każdy skrawek twojej ziemi jest kamieniodzwonem męczarni

tu człowiek i po śmierci idąc ścieżkami krwi grzyż język zaciskał zęby

tu świat nigdy nie dojrzał

wy ktorzy nie znacie królestwa trzecinowych ludzi

którzy nie znacie królestwa kochających kobiet chodźcie tu usłyszyście ocean jęków zobaczyście ocean włosów oczu głów

Oświęcim — dłoń mojej matki dlonie naszych matek

Oświęcim — początek równika



Janusz Sauer

Kroki

Droga to nie błękit minerały kaleczą stopy serce ostrożnie trzeba nieść przez życie by nie pękło jak trotyl

Pójdę dniem lub nocą nie patrząc w barwy zorzy logiczne jak cyfry stawiając kroki

Lecz gdy serce myśl przekluję nożem żal pozostałoże że nie potrafiłem życia przepłynąć obłokiem

Lipiec 1959.

HERODOT PISZE: „Kartagińczycy powiadają, że w ich kraju leży wyspa, która nazywa się Kyranin... (zdaje się, iż to dzisiejsza wyspa Kerkona)..., dostępna pieszo (z ładu). Na niej znajduje się jezioro, z którego miejscowe dziewczęta przy pomocy piór ptasich, posmarowanych smołą lub żywicą, wydobywają złoto. Nie wiem, czy to prawda, ale piszę, co powiadają...”

Chwali się ta ostrożność dostojuńskiego dziejopisowia, kiedy wiadomość potomności podaje. My jednak, będąc nieco bardziej nowocześni, chcielibyśmy współczesną manierą popытаć się tu i ówdzie, czy i ile prawdy w tej starożytnej relacji. Nie tylko bowiem na Herodota często się powołujemy, ale i na innych dawno odesłych miedrów.

„Już starożytni Grecy...” zaczyna wykładać jeden — „Nawet starożytni Egipcjanie...” dodaje drugi — „A w ogóle bajki!”, przecina trzeci. A jednak? Ileż to już „starożytnych bajek” no woczesna nauka zapisała do swoich roczników.

Tak też i opowieść Herodota, według zgodnej opinii uczonych, dotyczy pierwocin, okresu kiełkowania wielkiej idei twórczej, realizowanej przez współczesną flotację. Chodzi po prostu o wydobywanie cennych okruchów z otulenia skały płonnej. O koncentrację szlachetnych surowców, rozdzielanie mieszanin, oczyszczanie ścieków... Zapewne, iż nowoczesny zakład flotacyjny nie wyręcza się dziewczętami uzbogonymi w pióra nasmolone.

wane. Pióra dziś zastępuje piana. Smoły też nie zobaczymy, choć znalazłyby się pewne jej frakcje.

Toteż ważnym zagadnieniem jest sprawą otrzymania piana. Jej powstawaniu przeszka- dza napięcie powierzchniowe

cieczy, trzeba je więc zniszczyć. Pamietamy zapewne naszą gawdę o „placzącym wlinie” i „tańczącym kamforze”, kiedy to wyjaśnialiśmy zasadę tego zjawiska. Napięcie powierzchniowe powodują cząsteczki cieczy bardziej zwarte niż powierzchniowe aniołki w jej wnętrzu. By taka „blonka” zeriała się, wystarczy pomiędzy jej skupione cząsteczki powykać obce cząsteczki, jak kołczek w oczku subtelnej gazy. Znamy wiele takich substancji „powierzchniowo czynnych” — są nimi np. kwasy tłuszczyznowe (znajdują się także w mydle). Cząsteczki ich mają osobliwe właściwości budowę oraz pozytywny obyczaj gromadzenia się na powierzchni cieczy. Dbają przy tym bardzo by im ogonki się nie zamoczyły. Dzięki nim rozrywa się blonka napięcia powierzchniowego i cieczy łatwo się pieni. To zn. bez trudu formuje układ gazowych banieczek oddzielonych od siebie ścinankami-blonkami z prawej czystej wody. A nadto potrafimy taką pianę w miarę potrzeby utrzymać, a o zastosowaniu piany wiemy przecież dobrze.

Dziś już flotuje się najróżniejsze substancje. O flotacji rudy była mowa cały czas. Ścieki flotujemy by oddzielić zanieczyszczenia, by oczyścić wodę poprodukcyjną przed odprowadzeniem jej do zbiorników otwartych — kanałów, rzek, jezior czy nawet mórz. Z flotacji korzysta przemysł szkarski, dla oczyszczania piasku, sposobem tym koncentruje się chlorek potasu (co pozwala wykorzystać nawet rozczercone solanki dla oczyszczania tego cennego produktu), przemysł włókienniczy rozdziela flotację najróżniejsze włókna mieszane: wełny, bawełny, juty, różnych odmian włókien sztucznych itd.

I wszystko zaczęło się „od Herodota”, chociaż — cherchez la femme! Odkrycia bowiem samego zjawiska flotacji dokonały w roku 1886 angielska nauczycielka Carrie Eversen. I wtedy to otwarto ponownie szlak wiodący po „złote runo” bogactwa społecznego. Położono tamą zatrzymującą coraz skuteczniej potworną powódź ścieków.

Ale! A propos — pamiętacie legendę grecką o wyprowadzeniu Argonautów po złote runo Kolchidę? Znacie opowieść? No to posłuchajcie!

Wybierali się oni ku południowym wybrzeżom Morza Czarnego i podbierali tamtejszym autochtonom złote runo owce. Wiadomo, Grecy to naród mądry i praktyczny — jednemu bogu, Hermesowi, przypdzielił resort kupców i zlodziei.

(Dokończenie na str. 3)

Geografia głodu czy żywienia?

Powolana przed kilkunastu laty przy ONZ Organizacja dla Spraw Żywnienia i Rolnictwa (FAO) przeprowadziła dotyczas szereg ciekawych badań, które przyniosły rewelacyjne wyniki (m. in. na podstawie tych badań uczeń brazylijski J. de Castro napisał swoją książkę pt. „Geografia głodu”, która stała się słynna na całym świecie).

Badania wykazały, że duża część ludzkości cierpi na tzw. „gód utajony”, czyli na brak jakichś składników pozywienia niezbędnych dla utrzymania zdrowia. Niektóre powodem tego „grodu” są warunki klimatyczne, brak składników mineralnych w glebie, najczęściej jednak niezauważalność zasad racjonalnego odżywiania i niewykorzystanie możliwości swego regionu.

Badacze powoływały się przy tym na przykład Szwajcarii. W

czasie wojny była ona pozbawiona dowozu żywności, a wysoko postawione rolnictwo szwajcarskie dostarczało tylko połowę zapotrzebowania kalorycznego, niezbędnego do wyzwolenia mieszkańców. Sprawą tą zajął się wówczas wybitny uczeń prof. Wahlen z Zurichu i opracował plan, według którego Szwajcaria mogła wyżywić się sama. Skoro produkcja rolna nie dostarczała dostatecznej ilości niezbędnych składników wyżwienia — trzeba było ją zmienić. Wprowadzono rewolucyjne zmiany w produkcji rolnej i hodowlanej, obalono tradycyjne nawyki żywieniowe. Eksperyment udał się — w ciągu kilku lat Szwajcaria uzyskała całkowitą niezależność od importu żywności, zapewniając zaspokojenie konsumencyjnych potrzeb mieszkańców. W podobny sposób poradziła sobie wówczas z trudnościami żywieniowymi Anglia.

Po wojnie na całym świecie zaczęła się szerzyć wiedza o odżywianiu. Powstała nawet specjalna nauka — eutenia, zajmująca się czynnikami oddziałującymi z zewnątrz na człowieka. W zakres euteniki wchodzi nauka o żywieniu, dietetyka, nauka o kulturze życia codziennego, o higienie osobistej, o fizjologii pracy, stanach rozwojowych człowieka. Eutenia wprowadza się na katedry uniwersyteckie, do instytutów naukowych, na wszystkie szczeble nauczania. (K-API)

W serii monografii regionalnych zapoczątkowanych przed 10 laty przez Instytut Zachodni ukazało się w tych dniach kapitałowe dzieło zbiorowe pt. „Górny Śląsk”. Jest to obszerna praca zawarta w dwóch tomach, z których każdy ma przeszło 500 stron obficie zdobionych ilustracjami.

W zakresie materiałów historycznych monografia sięga po rok 1945. Udział Śląska w budowie Polski Ludowej omawia VI tom cyklu monografii Instytutu Zachodniego pt. „Odbudowa Ziemi Odzyskanych” (1945—1955), nie jest więc do obecnej monografii włączony.

Praca omawia w pierwszym tomie zarys ogólny a w drugim część szczególną. Rozpoczyna się od pradziejów Śląska, by przez epokę feudalną, okres kapitalizmu dojść do lat dwudziestych bieżącego wieku.

Część szczególną jest pewnego rodzaju przewodnikiem krajoznawczym. Monografia ma tytuł „Górny Śląsk”, ale jest to pojęcie historyczne, bo granice jego nigdy nie były zgodne z granicami administracyjnymi polskimi, czeskimi, austriackimi czy pruskimi. Omawiana monografia traktuje Górnego Śląska w granicach XIX i początkach XX wieku, obejmując trzy regiony: katowicko-bytomski, cieszyński i opolski.

Prace nad sporządzeniem monografii rozpoczęły się przed 10 laty w 1949 roku, kiedy to na Śląsk wyruszyła zorganizowana przez Instytut Zachodni ekspedycja naukowa, której skład stanowili profesorowie: W. Czapliński, M. Szaniecki, G. Chmarański, mgr Z. Czeppe, B. Kupiec, doc. J. Mitkowski i mgr M. Suboczowa. Umożliwiło to uczonym poznaniom zetknięcie się bezpośrednio z terenem, nawiązanie kontaktów z ludem górnospiskim i zbadanie najcenniejszych zabytków sztuki.

Aby wydana monografia była aktualna, przebudowano ją po 1955 roku i uwzględniono zmiany, jakie w ostatnich latach zaszły. W nowych pracach wszeli udziały również prof. Z. Kaczmarszyk, red. L. Ziembę, L. Brożek, M. Gladysz, S. Goliachowski i H. Piasiecki. W tej ostatniej formie Instytut Zachodni oddał do rąk czytelników swe pomnikowe dzieło o Śląsku. H. B.

Pomnikowe dzieło o Śląsku

W serii monografii regionalnych zapoczątkowanych przed 10 laty przez Instytut Zachodni ukazało się w tych dniach kapitałowe dzieło zbiorowe pt. „Górny Śląsk”. Jest to obszerna praca zawarta w dwóch tomach, z których każdy ma przeszło 500 stron obficie zdobionych ilustracjami.

W zakresie materiałów historycznych monografia sięga po rok 1945. Udział Śląska w budowie Polski Ludowej omawia VI tom cyklu monografii Instytutu Zachodniego pt. „Odbudowa Ziemi Odzyskanych” (1945—1955), nie jest więc do obecnej monografii włączony.

Praca omawia w pierwszym tomie zarys ogólny a w drugim częścią szczególną. Rozpoczyna się od pradziejów Śląska, by przez epokę feudalną, okres kapitalizmu dojść do lat dwudziestych bieżącego wieku.

Część szczególną jest pewnego rodzaju przewodnikiem krajoznawczym. Monografia ma tytuł „Górny Śląsk”, ale jest to pojęcie historyczne, bo granice jego nigdy nie były zgodne z granicami administracyjnymi polskimi, czeskimi, austriackimi czy pruskimi. Omawiana monografia traktuje Górnego Śląska w granicach XIX i początkach XX wieku, obejmując trzy regiony: katowicko-bytomski, cieszyński i opolski.

Prace nad sporządzeniem monografii rozpoczęły się przed 10 laty w 1949 roku, kiedy to na Śląsk wyruszyła zorganizowana przez Instytut Zachodni ekspedycja naukowa, której skład stanowili profesorowie: W. Czapliński, M. Szaniecki, G. Chmarański, mgr Z. Czeppe, B. Kupiec, doc. J. Mitkowski i mgr M. Suboczowa. Umożliwiło to uczonym poznaniom zetknięcie się bezpośrednio z terenem, nawiązanie kontaktów z ludem górnospiskim i zbadanie najcenniejszych zabytków sztuki.

Aby wydana monografia była aktualna, przebudowano ją po 1955 roku i uwzględniono zmiany, jakie w ostatnich latach zaszły. W nowych pracach wszeli udziały również prof. Z. Kaczmarszyk, red. L. Ziembę, L. Brożek, M. Gladysz, S. Goliachowski i H. Piasiecki. W tej ostatniej formie Instytut Zachodni oddał do rąk czytelników swe pomnikowe dzieło o Śląsku. H. B.

„W moim ogródeku rośnie różycka, napój mi Marysii mojego konicka...”

je dnia wyjazdu. „Wiozę tatusiowi piękny skajander z Galluxu — zwierza mi się. Kupiłam go za wszystkie moje oszczędności”.

Na 16-letnią Ko Ok Niok, właścicielkę wspaniałych, sięgających niemal do kolan warkoczy, niestety, nikt nie czeka. Jest ona zupełnie sierotą i po powrocie do kraju mieszkać będzie w internacie. „Będę chodziła do szkółki kierowniczej Aniele Marcza-kowej.

A jakże trudno było z po-dają za słodyczami, natomiast ogromnie lubią ryby, które przeważnie sami łowią w pobliskiej rzece Świdra i zwyczajem koreańskim suszą na słoniu. Wielką ich namiętnością są dalekie wycieczki, zwłaszcza w góry, które woli niż morze. Nade wszystko zaś lubią swój dom i wychowawców, szczególnie „tata” Megiela i „mamę” kierowniczkę Aniele Marcza-kowej.

A jakże trudno było z po-

dają za słodyczami, natomiast ogromnie lubią ryby, które przeważnie sami łowią w pobliskiej rzece Świdra i zwyczajem koreańskim suszą na słoniu. Wielką ich namiętnością są dalekie wycieczki, zwłaszcza w góry, które woli niż morze. Nade wszystko zaś lubią swój dom i wychowawców, szczególnie „tata” Megiela i „mamę” kierowniczkę Aniele Marcza-kowej.

A jakże trudno było z po-

cielskim pociskiem. Oszalałe ze strachu dziecko rzuciło się przed siebie, na oślep. Gdzieś po drodze zaopiekowały się nim inni uciekinierzy i dołączyli do transportu, który wyjechał później do Polski. „Opowiadam wam o tym dopiero teraz — powiedział Ri Kim Hin — ale trzeba mi było aż osiem lat, aby się przekonać, że jesteście dobrzy i nie chcecie robić nam krzywdy”.

Ogromne trudności były

podstawowej, do której u-częszczali razem z polskimi dziećmi, wyróżniały się piłko-ściany. Nigdy nie było mo-wy o nieodrobieniu lekcji czy wagarowania. Niektóre dzieci uczyły się nawet no-cami, co oczywiście kierownictwo domu energicznie zwalczało. Nie było przy tym żadnej niezdrowej rywaliza-cji z dziećmi polskimi. Między skośnokimy wychowankami domu a polskimi Jan-kami i Marysiami ze Świdra i Falenicy zawiązała się ser-deczna przyjaźń, cęgo do-wodem są chciąby uwiecznione w pamiętnikach ma-łych Koreańczyków wierszy-ki w rodzinie: „Ty pojdziesz, góra, a ja dolina, ale nasze serca nigdy się nie rozminą”.

Wróćmy jednakże do tego

jesiennego dnia sprzed osmu-

laty, kiedy po raz pierwszy

zobaczyły koreańskie sie-rotę w Polsce. Okutane były w grube chińskie kaftany, zwisające jak worki na wy-chudzonych postaciach. Spod dawno nie strzyżonych czup-ryn patrzyły oczy nieufne,

jak gdyby nie oswojone jesz-cze z widokiem całych do-mów i przyjaznych twarzy.

Wśród mazowieckich sosen

i jarzębin te dzieci wojny od-

zyskały jasność spojrzenia,

wiąre w ludzi, wszysko, co

składa się na szczerliwe

dzieciństwo. Poznali też

najgłębszy sens idei interna-

cjonalizmu. Teraz wróć do swojego kraju, który po latach

odbudowy może im już za-

pełnić dobre jutro.

MARIA JAWORNICKA

bie geografie, chcę poznac duzo różnych krajow, a najbardziej pragnętym pojecha na Biegum”.

Maleńka jak laleczka Cze Czun Wan, ulubienica miejscowości higienistki, „zaraziła się” od niej zamiłowaniem do wiedzy medycznej i pragnie zostać pielęgniarką. 15-letnia Ri Hion Sun ma do zakomunikowania radosną wiadomość: od członków delegacji rządowej Koreińskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, bawiącej obecnie w Polsce celem odebrania sierot koreańskich, dowiedziała się, że jej zaginiony podczas wojny ojciec żyje i pracuje we władzach Koreińskiej Partii Pracy. Można sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością Ri Hion Sun oczekuje

Pogawędką staje się co raz bardziej przyjacielska i bezpośrednia. Mali Koreańczycy nie znoszą mleka — o dziwo! — niezbyt przepa-

także z nauczaniem języka polskiego. „Język koreański — mówi pani Marcza-kowa — jest pełen pięknych prze-nosów i obrazowych określeń, trzeba więc było mówić do dzieci tak samo po polsku, aby lepiej przyswoić sobie nasz język. Ta metoda dala dobre wyniki, dzieci mówią już dziś zupełnie po-prawnie po polsku, chociaż nie mogą jeszcze wymówić naszych „sz” i „cz”. My, nauczyciele, z kolei — śmieje się kierowniczka — nauczyliśmy się tak biegli opero-wać metaforami, że nieraz między sobą mówimy w po-dobny sposób”.

Wiele trudności pozwalała przewyścięgać niezwykła wprost pracowitość i obo-wiązkowość dzieci. W szkole

z latach nadaje się do odtwa-nia i konsumpcji.

Po chwili w ścianie wonto-na błyksa srebrny sylwetka ryby. Pierwsza sielawa. Jest dorodna: prawie 30 cm dłu-gi. Wyrażam głośne zdzi-enie.

— Sielawę mamy ładną — potwierdza Lubik. Wczoraj wyciągnęliśmy jedną o wadze ponad 600 gramów. W tej wo-dzie bardzo szybko przyasta. Dobre warunki. Tyle że w la-tach poprzednich przelowi-liśmy i teraz mateczne stado może jakoś okrzepnąć.

Płyniemy następnie w stro-ne drugiego brzegu jeziora, gdzie zastawiono dalszą por-cję wontonów.

Rozjaśnia się i spoza za-słony rzadkich chmur prze-bija słońce. Blask razi oczy, odbija go lustro wody. Tonie nabierają koloru szmaragdo-wego; na tle ścian ciemniejszego lasu brzegi polyskuują intensywną zielenią. W oce-rece odzywa się ptactwo wodne. Nad nami kolią rybo-wolny.

Lubik podnosi głowę, mruczy oczy i burczy pod nosem.

— Czekają bestie na swój przepiór. Zbierają śniegą rybe...

... odkładają sielawy dokonywa-ją dwa razy w roku: latem i jesienią. Jesienią chwy-tane są jednocześnie tarlaki dla pozykania z nich ikry. Do połowów stosuje się wontony wysokie na 5 m (dawno uży-wano przewiók), przy czym stawia się je na głębokość od 5—12 m, operując rozmaitą wielkością ócz w sieci, w za-leżności od przyrostu pogio-wia. Wontony stawiane są z wieczora a podejmowane ran-kami. Najbardziej obfite po-lowy dają noce burzliwe, kie-dy skołowane lawice ryb ubi-jają się w sieci najliczniej.

Potem zabierają się z Hoz-bergiem do drugiego zestawu z wontonami. Upiły jeszcze jedna godzina, zanim kończą z podnoszeniem sieci. Połów tego dnia jest słaby, zaledwie pół skrzyni. Nie narzekają jednak. Likwidują dzisiaj pracę na Śremskim a od poniedziałka zabierają się do Jeziora Ławickiego.

Wracam do przystani. Niebo ponownie zasnuwa się chmurami. Tym razem zwią-stuje niechybny deszcz. Spod łodzi szorują dno, gdy pierwsze krople plaskają po wodzie.

Rybacy odkładają wiosła. Lubik zaczyna podbierać spławie. Odwiązuje i ciągnie linkę, za którą wynurza się z toni skraj sieci — wontona. Brzowa sieć skry się, ocieka wodą, jest delikatna jak pajęczyna.

... pogio-wie sielawy wprowa-dzone w te wody w okresie wojny, lecz właściwie nasila-nie materiałem sielawowym rozpoczęte w latach pięćdziesiątych. Przed wprowadzeniem pogio-wie sielawy dominowały na leszcz i płoć. Materiał zary-bieniowy uzyskuje gospodar-stwo z własnych wód, przy czym proces wykluja i pod-chowu wylegu odbywa się w ośrodku zarybieniowym gospo-darstwa w Jeziorze. Corocze-nie na 1 ha powierzchni jeziora wpuszczane jest ponad 20 tysięcy sztuk wylegu. Sielawa rośnie bardzo szybko i już po

... sieci stanowią bardzo po-ważną pozycję w gospodar-stwie rybackim i dobrą kon-serwacją materiału sieciowego w dużym stopniu przyczynia się do obniżki kosztów. W efekcie: większe dochody. Chodzi tu zarówno o prawidłowe zaintegrowanie sieci, o konserwację w trakcie po-lowów jak i o przechowywanie ich w miejscach suchych i przewiewnych (obawa przed gniciem i myszami).

Kończą wreszcie z rozwie-szaniem wontonów i przycho-dzą do rybaków. Ustaje tak-że deszcz. Siadają. Częstuję ich papierosem i rozpoczę-amy pogawędkę. Pytam Lubiki-a o żonę, dzieci, o zarobki.

— Nie najgorzej! W chacie wszysko w porządku. Dzieci dorastają (ma ich troje). Najstarszy syn, ilekroć zabieram go na wodę (8 lat), skacze z łodzi na środku jeziora...

— Będzie rybakiem? — przerywam.

— Chyba...

— A jak tam z zarobkami i jak idzie robot? — dopytuje, przypominając sobie, że nie tak dawno jeszcze zara-biali rybacy po kilkaset złotych miesięcznie.

— Rozmaicie... do półtora tysiąca, wyciągam — uśmiecha się Lubik. Wprawdzie ci, którzy mają wody węgorzowe zarabiają więcej. Ale i ja nie narzekam. Odzież ochronną otrzymujemy z gospodarstwa; także buty gumowe. A w ogóle, to teraz jakoś spokojniej się gospodaruje. Mniej nerwowości i nie ma takiego pogania...

— A wam, Hozberg — pytam — podoba się rybaczka?

Młody strzelista jak deb-czak mężczyzna, prostuje się jeszcze bardziej i odpowiada:

— Podoba mi się. Pozostanie przy rybaczce. Teraz jeszcze pójde do wojska...

Zbieram się powoli do wy-jazdu.

— A przyjedź pan znowu — woła za mną rybak — i przy-wieź trochę nowości z szero-kiego świata.

Marian Jaśkowski



Porozumienie uczonych bez rozgłosu

Prezesa amerykańskiej i radzieckiej Akademii Nauk: Detleva Bronka i Aleksandra Niesmiejanowa podpisali ostatnio porozumienie, koronujące wielomiesięczne prace przygotowawcze z obu stron, których celem było ustalenie programu współpracy uczonych. Najistotniejsze w porozumieniu jest to, że współpraca wychodzi daleko poza ramy wzajemnej wymiany dzieci naukowych. W ciągu 2 lat około stu wybitnych — jak stwierdza wyraźnie dokument — uczonych radzieckich i amerykańskich będzie prowadziło wykłady i seminaria oraz brało udział w pracach badawczych w instytutach i laboratoriach drugiego państwa. Czas pobytu każdego z uczonych waha się pomiędzy miesiącem a rokiem.

Porozumienie stanowi więc bardzo poważny krok naprzód na polu rozwoju i zблиżenia nauki światowej, w której Związek Radziecki i Stany Zjednoczone odgrywają zdecydowanie przodującą rolę. Międzynarodowy Rok Geofizyczny uczyńił nie mało na rzecz tego zблиżenia. Wizyty uczonych amerykańskich w ZSRR i radzieckich w USA przestały być wydarzeniem dnia. Dotychczas jednak było to w większości podróże kurtuazyjne i zapoznawcze, które w najbliższej przyszłości ustąpią miejscu prawdziwie roboczym wyjazdom i sesjom. Jakie korzyści wyniesie z tego sama nauka?

Przede wszystkim należy zająć się odkryciem, jakiego dokonali uczeni amerykańscy po wizytach w Związek Radziecki. Otóż ich zdaniem — przy zachowaniu obecnego tempa rozwoju — w ciągu najbliższej dziesięciu lat nauka radziecka wysunie się poważnie przed amerykańską w różnych dziedzinach, jak atomistyka i kosmologia, geologia i astronomia, chemia i medycyna, a jeszcze poważniej pod względem rozwoju kadr naukowych. W tym ostatnim przypadku istniejąca już obecnie różnica wywołana duże zaniepokojenie w amerykańskich kołach naukowych. Krajowa Akademia Nauk w Waszyngtonie ma przede wszystkim charakter doradczy i administracyjny, jednak nie kontroluje całego sztandaru naukowych.

Akademia Nauk ZSRR liczy ponad 11 tys. naukowców, pracujących w 80 instytutach, bezpośrednio jej podległych. Do tego dochodzi ponad 700 instytutów, które pozostają pod opieką i kontrolą akademii republik radzieckich i różnych resortów rządowych, szczególnie przemysłowych i zdrowia. Jeśli chodzi o ilość publikowanych prac naukowych, to rozpiętość staje się jeszcze większa, co stwierdzają zgromadzeni uczeni amerykańscy.

Grzegorz Tyński

Amerykański „projekt Merkury” zakłada dokonanie podobnego eksperymentu z człowiekiem w ciągu 2–3 lat. Kto znajdzie się pierwszy na Księciu? — pytanie takie pasjonuje od miesięcy światową opinię. Wiadomo już jedno: będzie to albo obywatel radziecki, albo amerykański.

Oczywiście, mniej spektakularne jest to współzawodnictwo dwóch w tak ścisłych naukach, jak matematyka i fizyka. Pod Moskwą czynny jest przeznaczony do rozbijania atomów akcelerator, uzyskujący przyspieszanie cząsteczek z energią 10 mld. elektronowolt. W walce o pierwszeństwo Amerykanie przystąpili do budowy akceleratora z energią 50 mld. elektr. wolt. Związek Radziecki zapowiada budowę podobnego przyrządu o energii 100 mld. elektr. wolt! Obie strony mają już gotowe plany budowy najbardziej potężnych na świecie radioteleskopów (obecnie znajdują się na tym polu Anglicy, których teleskop w Jodrell Bank odbiera sygnały gwiazdne rzędu 2 mld. lat świetlnych; amerykańskie i radzieckie mają mieć zdolność rzędu ok. 40 mld. lat św., tj. teoretycznie — kresu kosmosu).

Zbliżenie nauki amerykańskiej i radzieckiej, oparte już o trwałe formy porozumienia, jest wydarzeniem, którego wagę każe doceni. Nauka współczesna posiada tajniki zdolne do zniszczenia ludzkości. Ale siła atomu lub promieniowania może dać również dobrocynne wyniki. I w tym kierunku wspólnie będą zmierzać uczeni dwóch mocarstw, których priorytet jakości i ilości w technice i związkach z nią naukach jest bezsporny. Zbliżenie następuje bez rozgłosu. Brak jego nie pomniejsza jednak w niczym faktu, który należy zanotować z wielkim zadowoleniem. (API)

Grzegorz Tyński



Hala Gąsienicowa

Foto-Henryk Dera

Piaski dadzą stal

Woda pieniła się obracając wielkie koła wodne-młyńca, do którego wożono na rozkaz króla Zygmunta Starego potupany w kamieniach No-wego Targu granit. Przez kilka lat król Zygmunt wydobywał z granitu złoto, aby udowodnić, że jego inżynierowie i hutnicy potrafią wydostać kruszec z tatrzańskich skał.

Do każdego grama złota Zygmunt Stary dokładał trzy inne. Podobnie jest obecnie z polską stalą: koszt jednej tony rudy sprowadzonej z zagranicy wynosi od 12–14 dolarów!

Jak zapewnić hutnikom polską rudy żelaza?

Nieopodal Starachowic znajduje się mała osada — Zębce. Położona malowniczo budzi zainteresowania turystów, którzy chodzą po górnach. Jeśli dotrą do Zębca zobaczą rudy potok. Struga nazwa się inaczej, ale każdy, kto spojrze na jego mżem, rude wody, nie nazwie go Barnim, tylko właśnie rudy.

Niezbędny szeroka struga wody przepływa obok wielkiego pola, które pokrywa się sypki piasek. Jeśli dobrze się przyrzecz, owemu piaskowi można znaleźć w nim niewielkie okruchy — szorstkie i rdzawe. To ruda żelaza.

W Górzach Świętokrzyskich znajdują się 3 biliony ton rudy żelaza pomieszanego z piaskiem! Jest to ilość, która wystarczyłaby hutnictwu polskiemu na co najmniej 50 000 lat przy rocznym zużyciu 20 milionów ton! A tyle niebanem będzie potrzebowało nasze hutnictwo...

Cóż z tego, skoro piaski żelaziste Górz Świętokrzyskich nie nadają się do wytapiania w piecach hutniczych. Trzeba je przerobić, wzbogacić.

W jaki sposób? Właśnie nad tym pracują uczeni w Głównym Instytucie Górnictwa w Katowicach, w pracowni profesora dr. Korola.

— Czy prace, prowadzone przez pana profesora, mają szansę powodzenia? — pytam bez ogródek.

Profesor mówi zdecydowanym głosem:

— Na wzbogacaniu piasków żelazistych uczeni całego świata żamia się żebry! Ten produkt, ważny jest dla takich krajów, jak Niemcy, Czechosłowacja, Francja, Anglia, Włochy i wiele innych. Wniki, jakie uzyskaliśmy, pozwalały przypuszczać, że problem piasków żelazistych będziemy w stanie rozwiązać.

— Na czym polega metoda opracowana przez pana profesora?

— Zaczniemy od tego, jakie piaski posiadamy w Polsce.

A więc 10–20 procent piasków, to piaski uwołonne, o ziarnach od 0,100 milimetrow. Ten rodzaj piasków jest bardzo łatwo wzbogacić metodą osadzania. Natomiast piaski krzemionkowe, a tych mamy ponad 50 procent, trzeba przed osadzaniem poddać zmienieniu. Około 12 procent stanowią piaski związane z glinem, który jest niesłychanie aktywny chemicznie, niemal uniemożliwia wzbogacenie wydobytej rudy. Wreszcie resztę stanowią piaski alkaliczne, zawierające tlenki magnezu i tlenki wapnia, które bez żadnych przeróbek idą do wielkiego pieca, bowiem alkalia stanowią topniki dodawane specjalnie do rudy żelaza.

— Czy nie można w takim razie wydobywać tylko piasków alkalicznych?

— Niestety. Ruda musi być bogata w żelazo, w przeciwnym razie wytapianie żelaza nie jest opłacalne. Zlecając nam problem do opracowania, Ministerstwo zastrzegło się, że możemy brać tylko te metody pod uwagę, które pozwalały wzbogacić rudy do co najmniej 30 procent zawartości żelaza.

— Czy udało się to panu profesorowi?

— Ostatnie badania wykazały, że zdolaliśmy wzbogacić nasz piasek do 47,18 procent zawartości żelaza w rudzie. Jednak są to efekty laboratoryjne.

— Zasady, na których opiera się metoda profesora Korola są proste: piaski są kruszone na ziarna poniżej 10 milimetrów, ruda oddziela się od piasków, ilów i innych do mieszków dzięki sile bezwiedności, czyli wykorzystaniu różnic w tempie opadania ziaren wymieszanych w wodzie — woda z pomielonymi ziarnami przelewa się na stół, drgającym z lewa na prawo i ruda wydziela się po prawej stronie stołu...

Wyniki prac grupy profesora Korola są tak dobre, że oznacza budowanie się pod jego nadzorem instalacji półtechnicznej, która pozwoli określić ekonomiczność opracowanej przez niego metody.

Zegnając profesora dr. Dionizego Korola pomyślałem: Gdyby Zygmunt Stary miał takich uczonych, wówczas tatrzańskie złoto byłoby chyba tańsze. A jednak dobrze się stało, że profesor Korol żyje w naszych czasach. Dzięki jego pracy za kilka lat — być może — zostanie rozwiązany podstawowy problem polskiej gospodarki — będziemy mieli dość własnej rudy żelaza!

Jerzy Halicki

PODZWONNE TABAKIEROM

chill. To po naszemu „mieć swego konika”, albo jak teraz modne „hobby” się nazywa.

— A powiem ci jeszcze. Stanisław Staszic ów ponoć syn Zamoyskiego z flirtu z sławną burmistrzową Pily — wolny czas zupywał przy robocie tokarskiej i z umilowaniem robił tabakierę hebanowe...

— A czy były inne jeszcze? — zapytałem nieśmiało.

— A były. Najpierw gruszowe i lipowe, potem metalowe z zawiaskami, blaszane, srebrne, złote, porcelanowe, rogowe, okrągłe, podłużne, jajkowe, szufladkowe, lakiernowe, miedziane, papierowe, szmelcowane, bukszpanowe, czeczołkowe, brzozowe, jaspisowe, marmurowe, mozaikowe — słownem przeróżnej maści, materiału i kształtu. Jak moda nakazywała. Czym panowie się dzisiaj puszczali, to jutro woźnicom się dostawało.

I jeszcze jedna sensacja, mości Skrybo. Ten szewc warszawski, Jan Kiliński, który pułkownikował braci po kopycie w Rezurekcji (165 lat będzie, jak go Prusacy odwozili z Poznania do Warszawy w ręce Suworowa!) dla uprzyniemania czasu także majsterka się zajmował.

— Zaszczyt oglądać miałem — wraciłem — jego małe buciki z cholewami wystrugany z drewna i uryzowanymi pierwszymi literami imienia i nazwiska. Przez córkę pułkownika bucik w rodzinie Leszczyńskich się dostał, a od nich w rodzinę Dęgowskich, którzy na Osiedlu Warszawskim w Poznaniu mieszkają i mają prawo się chlubić.

Mój szlachcic wysłuchał cierpliwie, zastukał tabakiera i nadął dumnie policzki.

— Wiem, asan, żeś się o to dopytywał. Wiem też żeś niedawno próbował zazyczyć z tabakierą świętkarza mikorzyńskiego Jana Kociczy i z tej okazji jak bób się splakaleś, aż uśwyt! Wam sarnie ogony ciągnąć, a nie tabakiera!

Jeszcze raz zaząb tabaki i huknął jak armata. Na dworze kogut krzyżał na rozespansie kury.

Rzemieniem dufzlem przez historię

W tym kierunku znajdują się najnowsze wyniki.

— Nie przednia ta wasza tabaka. Za moich dziadów, w latach Sasów na posadzie królewskiej w naszym kraju, pomnie, insza była, a największej sławy zażywała ta, którą wyrobiała warszawska Włoszka z Syrakuz, Srokoziną przez pospółstwo zwana. Dla lipkości — jak to rzecze proboszcz rzeczycki Jędrzej Kitowicz — przydawała nawet uryny ludzkiej. A to ci tabaka była! — szlachcic pociągnął z doleczką jedną dziurką od nosa i drugą, a potem kichnął, że świeci na ścianach się poruszyli.

— Na zdrowie! — rzekłem ogluszyony.

— Bóg zapłać! Uwazasz, asan, że w tym kierunku wychodzą z człowieka wszystkie zła i wnetrze się oczyszczą. Myszy się nawet po kichaniu w tłumie poznawali... Ja tak baje, a tobie, zacny Skrybo, o co innego chodzi. Pytaj się asan, zanim kogut nie zapieje.

— Rzeknij mi dobrodzieju, a myły bracie, czy jeszcze kto ze sławnych naszych pradziadów wyrobem tabakier się trudzi? To i za moich teraz czasów wielu dla odpoczynku i umilowania rozmaita rzeczy czyni. Znam i takich, co pisaniem wierszy czas sobie zajmują, lub landsztafty malują jak ów Chur-

SKRYBA

SZMERY

ŚWIATA

TELE — ZIMNA WOJNA

Minister spraw wewnętrznych Nadrenii — Westfalia Duhues zabronił wykonywania w programie telewizyjnym filmu, przedstawiającego codzienne życie Chruszczowa. Uzasadniając swoją decyzję, Duhues oświadczył, że na filmie tym premier radziecki wygląda zbyt sympatycznie i widzowie nie mogliby się oprzeć uczuciu przyjaźni dla niego. (n)

FILATELISTYCZNE PORTRETY

Albert Janner, malarz i jednocześnie dyrektor biura turystycznego w Monachium udostępnił zwykłym śmiertelnikom przywilej, przystępujący do końca czasów rządów, królem i wybitnym osobistościom. Robi on mianowicie na zamówienie portrety prywatnych osób na znaczkach pocztowych. Każdy może sobie taki znaczek przylepić na liście, który wysyła do znajomych. Dyrekcja pocztowa nie sprzeciwia się temu, żąda tylko — rzec jasna — aby obok „prywatnego” znaczka przylepiony był także oficjalny znaczek pocztowy.

Janner otrzymuje codziennie setki zamówień na tego rodzaju znaczki. Przeważnie proszą o nie ludzie, którym zależy na reklamie — adwokaci, lekarze, właściciele fabryk i dyrektorzy różnych przedsiębiorstw. Niektórzy zamawiają nawet znaczki z wizerunkiem swych ulubionych psów.

Obecnie Janner przygotowuje znaczki z wizerunkami pierwoszoligowej drużyny piłki nożnej Niemieckiej Republiki Federalnej. Ponieważ drużyna ta cieszy się w Niemczech z zachodnich olbrzymią popularnością, pomysłowy malarz spodziewa się, że na tych znaczkach zarobi miliony. (n)

STYL EPOKI

„Gdy patrzę na dzisiejszych chuliganów — powie działy ambasador NRF w Turcji, Fritz Oeller — przy pominiem sobie swoją własną młodość. Nie wyobrażam sobie, aby kiedykolwiek odważył się w domu rodziców siąść do kolacji bez smokinga”. (m)

WSZYSTKO DLA REKLAMY

Najlepszej jakości koronki na świecie produkowane były dotychczas w szwajcarskim kantonie Aargau. Nie chcąc pozostawać w tyle za swymi szwajcarskimi konkurentami, Japończycy przemianowali ją do miasteczek japońskich, gdzie również produkują się koronki, na Aargau. Wyroby z tego miasteczka będą obecnie wysyłane na eksport z etykietą „Prawdziwe koronki z Aargau”. Może nikt nie sprawdzi... (m)

OCHRONA PRZED TELEWIZJĄ

W Danii uchwalono niedawno ustawę, na mocy której wszystkie lokale nocne będą mogły być otwarte aż do piątej rano, zamiast, jak dotychczas, tylko do północy. Jeden z deputowanych powiedział żartobliwie, że jest to pewnego rodzaju samoobrona przed telewizją, która obecnie tak吸收uje Danii 24 godziny, a śpijcie we wszystkich krajach. (m)

W związku z uchwałą o przedłużeniu godzin zamknięcia lokali nocnych, danańskie biuro turystyczne wydało prospekt z następującym hasłem: „Turyści, bawcie się w Danii 24 godziny, a śpijcie we wszystkich krajach”. (m)

GUMA DO ŻUCIA

W ubiegłym roku Amerykanie i Amerykanie wydali 300 milionów dolarów na gumę do żucia. Wynosi to 200 sztuk rocznie na jedną parę szczek dziecięcych i dorosłych. Dla miłośników geografii — nitka sporządzona z tej gumy do żucia wystarczyłaby do 60-krotnego opasania Ziemi dookoła Równika. (jr)

„Złote myśli“ Gruzinów...

Na wystawie osiągnięć gospodarczych Kraju Rad w Moskwie otwarto niedawno **okrągłe kino panoramyczne** — jedno z największych na świecie. W klubie kina odbyła się konferencja prasowa dla dziennikarzy zagranicznych i radzieckich po czym wyświetlono nowy film „Droga wiosny“.

Wielka sala zbudowana jest ze szkła, stali i sztucznego tworzywa. Obraz rzucany jest na ekran przez 22 aparaty projekcyjne równocześnie. Za ekranem umieszczone są 32 głośniki. Ten oryginalny system jest dziełem radzieckiego instytutu badawczego dla spraw filmu a wszystkie aparaty wykonali radzieccy konstruktory i inżynierowie.

Indie wyprodukowały w ubiegłym roku 293 filmy zajmując tym samym drugie miejsce w światowej produkcji.

Nowy sygnał SOS z Francji: 20 projektowanych, po części już realizowanych filmów musiało jeździć z warsztatów swych twórców. Powodem jest jak zwykle brak pokrycia finansowego dla zrealizowania tych filmów. Skutkiem tego 30 aktorów kierujących główne role, tysiące małych gwiazdek i statystów oraz całe ekipy techniczne znajdują się bez pracy. (R)

Nie należy z ufnością wlaźć do lwiej paszczy. Gdy nie uda ci się złapać ryby, napij się choć wody. Lepiej umrzeć niż żyć jak robak.

Kobieta podobna jest do cienia: ucieka, gdy ją ścigasz, a goni cię, gdy chcesz od niej uciec.

Nie warto spieszyć się z zerwaniem owocu — gdy dojrzeje sam spadnie.

Nie przywiązuje znaczenia do wyciętej cytryny.

Najłatwiej jechać udeptaną ścieżką.

Rozumu kobiety nie mierz jej uroda.

Los nie pyta, co kto woli.

Nie wyjmuj szabli przeciwko nieszkodliwym głupcom, odtrącaj ich zwykłym kijem.

Jeśli żołędź spada — szukaj obok świnie.

I kij zakwitnie na urodzajnej ziemi.

Tylko głupiec ucieka od źródła szczęścia.

Dla dobrego człowieka nawet niedźwiedź ma lepsze serce.

Z ziarenka jęczmienia nie wyrosie róża.

... i przypowiadka turecka

Pewien kupiec postanowił podpalić dom konkurenta. Jak pomyślał, tak zrobił — konkurent spalił się. Sędzia przesłuchał przylapanej podpalacza, lecz życzył sobie wysłuchać poszkodowanego. Dowiedział się jednak, że poszkodowany przeniósł się na łono Mahometa. Zaambarasowany sędzia myślał godzinę aż wreszcie otworzył Koran — źródło wszelkiej mądrości. Tam znalazł wyjście z sytuacji: „... jeżeli poszkodowany nie może stawić się, lecz przebywa w wiadomym miejscu, należy wysłać tam oskarżonego, aby miejscowy sąd mógł go zasądzić...“. Uradowany sędzia kazał więc natychmiast wysłać winnego również na łono Mahometa. Aby można było tego dokonać — katścią mu głowę.

Zebrała: H. S.

Jedziemy nad morze!



Falochrony przed plażą

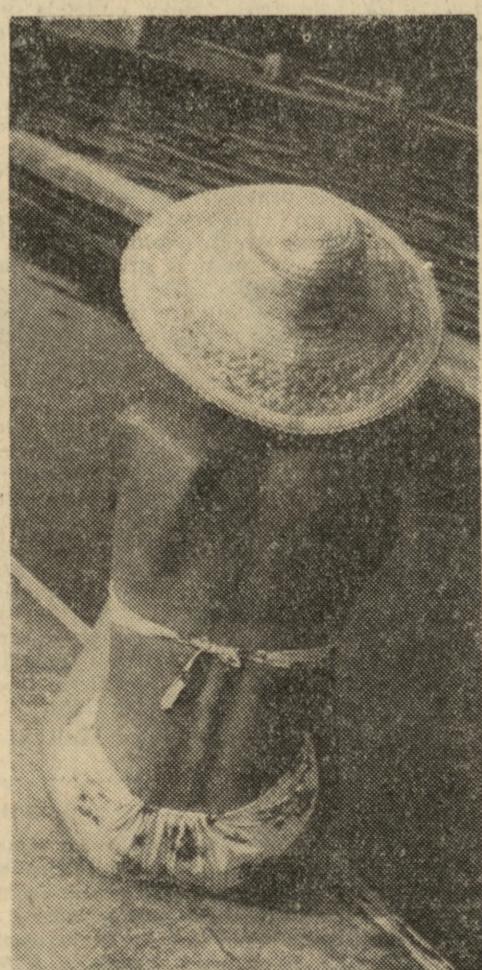
Rewal jest niewielką miejscowością na Pomorzu Zachodnim. Nie wyróżnia się właściwie niczym szczególnym. Dopiero gdy się zajdzie nad wybrzeże morskie, można ujrzeć dziwne zjawisko: otwarte wsi Stary Trzesacz nie ma ani jednego mieszkańców, a nad wysokim brzegiem stoi jedna ścia na kościele. Inne — runęły w dół, a szczątki można ujrzeć czasami przebijające czerwienią przez żółty piasek plaży.

Wyjaśnienie tego zjawiska można znaleźć w Instytucie Morskim w Gdańsku: otóż okazuje się, że w ciągu 7 stuleci brzeg morski w okolicach Rewala, a konkretnie — pod Starym Trzesaczem — cofnął się o około 2.500 metrów. Prądy, panujące na Bałtyku, przeniosły stąd miliony metrów szeszieniowych piasku na inne tereny, przede wszystkim w okolicę Łeby. Kościół, którego resztki absydy i podłogową ścianę jeszcze widać, runął już dawno do morza. Nie o tej budowę jednak chodzi: otóż w wielu miejscach widać w morzu, przed plażą, szare prostokąty falochronów. Mają one chronić brzeże przed niszczącym działaniem prądów Bałtyku.

W ciągu kilkunastu lat państwo polskie wydatkowało rocznie około 10 milionów złotych na badania naukowe, sadzenie traw, jak również znaczne fundusze na budowę falochronów zabezpieczających brzeg przed niszczaniem. A czasami zdarza się, że turyści mówią o wykonaniu prac, które nie mają sensu, wykonanych wbrew zdrowemu rozsądkowi. Jak widzimy, czasami możemy się na nim zawiść. (A. C.)

P
I
O
N
O
W
O
P
O
Z
I
O
M
O

Fot. (3) Tadeusz Drankowski



NIEPART — wioska w powiecie goszczyńskim. Narodziła się ona w bagiennej puszczy. Pochodzenie to zdradza nazwy pobliskich uroczysk leśnych, jak: Nakły (blota), Bukowina. Dawniej cichy, lesny zakątek określano, jako „bór huganem nieparty“.

Był zamek, otoczony fosą. Zjadły go czas; resztę jeszcze dziś oglądać można w parku. Już w roku 1240 istniała parafia, kościół tu miał być zawsze murowany. Pierwsi, znani właściciele, należeli do rycerzy dość kreckich i zaczepnych. Zapiski stare mówią, że w roku 1271 plądrowali dobrą biskupa wrocławskiego w okolicy Mili-

Równo 201 lat później, Niepart przeżywał nie lada sensację. Oto w towarzystwie zbrojnych przyjechał tu Mikołaj Borek Osiecki z Osiecy z apetytem na panne Agnieszkę Niepartową. Nie zastał jej we dworze, więc poszedł do kościoła, gdzie nadobną Jagusią na oczach jej matki przemocą zabrał i zaraz w noc nadchodzącą kazał na Zamku w Osiecznej dać sobie ślub.

Również 201 lat później, Niepart przeżywał nie lada sensację. Oto w towarzystwie zbrojnych przyjechał tu Mikołaj Borek Osiecki z Osiecy z apetytem na panne Agnieszkę Niepartową. Nie zastał jej we dworze, więc poszedł do kościoła, gdzie nadobną Jagusią na oczach jej matki przemocą zabrał i zaraz w noc nadchodzącą kazał na Zamku w Osiecznej dać sobie ślub.

Na marginesie tego rajdu war-

to dodać, że matka Niepartowa znała, iż napastnikowi towarzyszyły 160 szlachty i 310 „podlejszych“ ludzi. Inni świadkowie podali, że tylko 25. Z tego wynika, że Osie-

cki nie był zwykłym, średnim

ALISET
HISTORIA
ciekawostki
ALIFOLI

szlachcicem. Musiał też mieć mocne plecy, bo za porwanie dziewczyny (według prawa placiło się głowę) nie go nie spotkano. Tylko tyle, że starosta Jagusia odebrał, a biskup ślub unieważnił, ludzie zaś mieli co opowiadać przez wiele lat.

Pierwsza wzmianka o szkole w Niepartce mówi o roku 1363; a wiec za trzy lata okazja do jubileuszowania...

Niestachów — dzisiaj część Poznania. Wieś od r. 1253. Nazwa naprawdopodobnie od Niestacha, a więc tego, który nie jest Stachem, albo nie należał do Stacha. (ip)

Elektrownie słoneczne

Słońce wysyła na Ziemię ogromne ilości energii. Oblicza się, że w ciągu kilku dni jest jej tyle, ile przez miliony lat zgromadziło się w dostępnych nam pokładach węgla i ropy. Wskutek jednak rozłożenia się tych ilości energii na ogromnej przestrzeni, jeden m² naszej planety otrzymuje nieznaczącą ilość, bo zaledwie 1 kW mocy. Toteż ilość energii, równa tej, jaką daje jedna elektrownia cieplna — gromadzi się na Ziemi na ogromnej przestrzeni.

Dzięki półprzewodnikom, nauka zna już sposoby rozwiązywania tego zagadnienia: poprzez zastosowanie fotokomórek i termopar z półprzewodników. I jedne i drugie potrafią zamienić energię słoneczną w elektryczną. Niestety, jest to rozwiązanie tylko teoretyczne, gdyż katalityczne mocy elektrycznej, otrzymane przy użyciu fotokomórek, kosztowałyby zbyt drogo. Specjalisi stawiają tu raczej na półprzewodnikowe termopary, starające się obniżyć koszty otrzymywania energii do kosztów zwyczajnych elektrowni. Skoro się to uda — energetyczka czeka nowa epoka. Obliczono, że dzięki metodzie zamianiania energii słonecznej w elektryczną za pomocą półprzewodnikowych termopar — powierzchnia kwadratowa o boku 100 km może zasilić energią elektryczną całą kulkę ziemską. (K-Api)

Coś w rodzaju poczty wczesowej

AUTO-KLOPS?



Fot. — Glos

Nie sugeruję się tym nieco karykaturalnym choć autentycznym zdjęciem przedstawiającym decydujący moment u cygańskiego życia każdego autostopowicza: sygnał dla zbliżającego się pojazdu. Nie myśleć, że znajdzicie tu opisy jakichś zabawnych przypadek lub kawałów nie z tej ziemi. Nic podobnego. Sprawę potraktujcie jak najbardziej poważnie, bo też jest ona problemem i dla kierowców, dla tysięcy znawców auto-stopu, dla dziesiątek tysięcy, którzy w latach następnych z pewnością przejdą do ich obozu.

Miałem ostatnio kilka dalszych wyjazdów samochodem, więc naocznie przekonaiłem się, jaką popularność zwłaszcza wśród młodzieży studenckiej, zdobyła ta forma podróże po kraju. Na wylotach szos prawnie każdego większego miasta spotkać można kilkunastosobowe grupy posiadaczy książeczek auto-stopu, czekających w przydrożnych rowach na okazję zabrania się samochodem. Jeżeli złapią pustą ciężarówkę, mogą się zabrać wszyscy, jeżeli auto osobowe — jeden, dwóch, a wyjątkowo trzech szczęścia.

W imieniu auto-stopowiczów i kierowców wolę więc o podział konkursu dla szoferów na 2 osobne kategorie: wozów osobowych i ciężarowych. Ci pierwsi, jeżeli już się decydują na czasną hałasującą przed wyciągniętą w ręce turysty książeczką, czynią to tylko z „dobrego serca“, a nigdy z nadzieję wygrania samochodu. Kto na tym cierpi najbardziej? Oczywiście, auto-stopowicze! Często zamiast odbywać swoją turystyczną wędrówkę wygodnie z dachem nad głową, telepią się w deszcz — nie deszcz odkrytym wozem.

W imieniu auto-stopowiczów i kierowców wolę więc o podział konkursu dla szoferów na 2 osobne kategorie: wozów osobowych i ciężarowych. Ci pierwsi, jeżeli już się decydują na czasną hałasującą przed wyciągniętą w ręce turysty książeczką, czynią to tylko z „dobrego serca“, a nigdy z nadzieją wygrania samochodu. Kto na tym cierpi najbardziej? Oczywiście, auto-stopowicze! Często zamiast odbywać swoją turystyczną wędrówkę wygodnie z dachem nad głową, telepią się w deszcz — nie deszcz odkrytym wozem.

Problem drugi, to sprawa sprzedaży książeczek. W praktyce sprzedają je w PTTK każdemu, kto zapłaci 25 złotych. Nie brak więc cwaników, którzy za pomocą auto-stopem wcale nie w celach turystycznych. Owszem cwaników każdy intelligentniejszy kierowca rozpozna z łatwością. Chociaż dostanie kuponu, czuje się trochę oszukany. Potem cierpi na tym prawdziwi turysty, bo kierowcy zaczynają mieć uprzedzenie i po prostu — nie zabiera nikogo.

I jeszcze jedno. Zadaj kilkudziesięciu spotkanym przez mnie turystów, bo autostopowicze nad rzadko korzystają z hoteli, nie przestrzegają obowiążku meldowania — cytuje z pamięci regulamin — „w miejscu, gdzie przebywa ponad 24 godziny“. Kiedy pytam o powody kolizji z przepisami, słyszałem z reguły:

— Tracić pół dnia na urody!

Nie wiem, czy jest sens uczyć młodych ludzi bimbana z zarządzeń nie wiem czy jest sens ustalać przepisy, których nikt nie przestrzega.

Nie jestem przeciwnikiem auto-stopu, wręcz przeciwnie — cieszę się, że ta tania forma poznawania kraju zdobyła wśród młodzieży, nigdy nie grzeszającej nadmarami złotówkami w kieszeni, tylu zaprzysiężonych entuzjastów. Intencją, która przyświecała zawartym tu uwagom jest szczerą chęć przyjścia z pomocą entuzjastom „czarów cudzych kółek“ — jak powiedział Przekrojowy Salami Kożerski i obawa, by auto-stop nie zamienił się w auto-klops.

MARIAN FLEJSIEROWICZ